

„W przyszłość patrzę optymistycznie...”



Z Romanem Wapińskim, historykiem, laureatem medalu św. Wojciecha rozmawia Grażyna Pilarczyk

- Ten rok jest dla pana Profesora rokiem szczególnym. Wyznaczają go doktorat honorowy na Uniwersytecie Wrocławskim, gdański medal św. Wojciecha i jubileusz urodzin. Można powiedzieć, że spotkał się pan z powszechnym uznaniem swojej pracy. Czemu zawdzięcza się tak wielkie sukcesy w pracy naukowej?

- Myślę, że przede wszystkim rodzinie i to zarówno domowi rodzinnemu, z którego wyszedłem, jak i rodzinie, którą założyłem. Wiele zawdzięczam niektórym profesorom z okresu moich studiów, życzliwości ludzi i...przypadkowi.

- Czy zechciałby pan powiedzieć coś więcej na ten temat, brzmi to intrygująco...

- Chyba nie zdajemy sobie sprawy, jaka rolę w naszym życiu odgrywa przypadek. Posłużę się dwoma przykładami z własnego życia. Jeden dotyczy mojej pracy naukowej, a drugi pracy publicznej. Gdy moja praca doktorska była już na ukończeniu, miałem już 70% materiałów do rozprawy habilita-

cyjnej. Dzięki temu byłem w stanie zaledwie w trzy lata po doktoracie zrobić habilitację.

- Rzeczywiście niesłychanie szybko potoczyła się pana kariera naukowa...

- Ale to był przypadek. Problematyka związana z endecją nie była właściwie wtedy opracowana. A drugi przypadek... W 1965 roku zostałem wybrany prorektorem ds. nauki i nauczania w ówczesnej Wyższej Szkole Pedagogicznej w Gdańsku, zaś już w październiku 1967 roku złożyłem rezygnację i zaplanowałem dwa miesiące urlopu: na listopad '67 i na marzec '68...Gdybym pozostał na stanowisku, a byłem wtedy jednocześnie członkiem Komitetu Wojewódzkiego PZPR, to albo bym się ześwinił, albo bym z hukiem wyleciał ze stanowiska...to jest właśnie rola przypadku. Ta rezygnacja nie była przecież wywołana klimatami politycznymi, jakkolwiek były one dla mnie drażniące. Znajomi mnie później pytali: „Słuchaj, skąd wiedziałeś?”...

- Wiem, że w młodości marzył pan o innej drodze życiowej. Proszę o tym opowiedzieć.

- Ukończyłem liceum matematyczno-fizyczne i chciałem zostać konstruktorem lotniczym. Tak się złożyło, że tuż przed maturą zacząłem pracować zawodowo, a później okazało się, że na Politechnice Warszawskiej zagubiono moje papiery. Zdarza się...Pracowałem dalej. Po roku zrezygnowałem z zamiaru startowania na politechnikę. Gdzieś w głębi duszy pociągała mnie szeroko pojęta humanistyka. Takie zainteresowania wyniosłem z domu. Poza tym zawsze miałem nieprzewartą chęć czytania, generalnie jednak się leniłem...Zastanawiałem się nad wyborem pomiędzy polonistyką, historią sztuki a historią. Wybrałem historię, może dlatego, że jest najbardziej ogólna.

- Ale także wymaga dużej dyscy-

pliny intelektualnej, ścisłego myślenia, syntetyzowania... A pana dobra znajomość matematyki była tu dużą pomocą.

- Rzeczywiście, jeden z kolegów historyków powiedział mi po przeczytaniu biografii gen. Sikorskiego mojego autorstwa, że ja piszę tak, jak pisze matematyk. Poza tym bardzo przydatna jest nauka łaciny ze względu na ładunek logiki, jaki ze sobą niesie.

- Od ponad czterdziestu lat mieszka pan w Gdańsku, który stał się kiedyś dla pana miejscem swoistego „zesłania”. Jednak oddał pan powstającemu tu uniwersytetowi wszystkie swoje talenty i energię. A czy dzisiaj nie żałuje pan opuszczenia Warszawy?

- Na samym początku chciałem wrócić do Warszawy, dwa razy byłem już gotowy to zrobić, drugi raz w 1967/1968r. Wiedziałem nawet, jakie mieszkanie czeka na mnie w Warszawie. A było to duże, przedwojenne mieszkanie, warte zachodu...Chciałem przede wszystkim uciec od pracy administracyjnej, a Warszawa to przecież idealne miejsce dla historyka przede wszystkim ze względu na archiwa i księgozbiory. Poza tym miałem tam rodzinę...Ale na szczęście w porę dowiedziałem się, że w ślad za tą ofertą idzie stanowisko o charakterze administracyjno-politycznym i odmówiłem. Zostałem w Gdańsku. Czy teraz żałuję? Nie. Ja nie odczuwam braku kontaktu z Warszawą. Wyszedłem z tamtego środowiska, ówczesne roczniki studiujące ze mną wydały większość profesury Uniwersytetu Warszawskiego. Z tego samego seminarium wywodzi się Jerzy Holzer, Janusz Żarnowski, Jan Molenda...Były to roczniki niesłychanie owocne. Nigdy nie miałem kompleksów z tego powodu, że nie pracuję w Warszawie. Być może dlatego, że moja kariera naukowa rozwijała się tak szybko i że utrzymywałem żywe kontakty z moimi kolegami.

„W przyszłość patrzę optymistycznie...”

dokończenie ze str. 7

- Czy podoba się panu Gdańsk?

- To, co mi się najbardziej podoba w Gdańsku i w Trójmieście, to komunikacja. Trzeba przyznać, że cały system komunikacji publicznej oceniam wysoko. Nie mam wprawdzie samochodu, ale widać wyraźnie, że poruszanie się samochodem po prostu się nie opłaca. To jedno. Na pewno zyskała część Głównego Miasta na skutek renowacji. Gdańsk posiada układ urbanistyczny, który w małym stopniu sprzyja organizacji życia miejskiego. Jest to rozciągnięte miasto portowe, nie przypomina ono ani Wrocławia ani Krakowa, których rynki wyraźnie porządkują przestrzeń miasta. Gdańsk „idzie” ku Motławie, trzeba to wykorzystać, przystanie powinny niejako „wchodzić w miasto” i zlewać się z nim. Dzisiaj żyje Długi Targ, ale reszta miasta zamiera po zmroku, a szkoda.

Co mi się natomiast nie podoba, to przywiązywanie zbyt dużej wagi do wystroju zewnętrznego, swoisty bizantynizm...Jeżeli miałbym do wyboru, czy robić dodatkowy wystrój, czy zreperować chodnik, to jestem za reperacją chodnika. Gospodarze miasta też jeszcze muszą się uczyć, jak wykorzystywać niewielkie przeciwieństwa.

Jeżeli porównamy piekielną zabudowę z hotelem naprzeciw pięknego Dworca Głównego, cieszę się, że nasz dworzec ocalał. Ale dlaczego nie zbudowano w tym miejscu czegoś pasującego stylem do bryły dworca?

- Jak pan ocenia miejsce Gdańska na mapie naukowej Polski?

- Pisałem kiedyś o peryferyjności Gdańska i uważam, że peryferyjność Gdańska się pogłębia i dzieje się to, niestety, także przy udziale władz. Obserwuję, że te środowiska deklarują swoje wysokie aspiracje, równocześnie nie są w nowoczesnym znaczeniu tego słowa ekspansywne. Ta peryferyjność wynika w dużej mierze stąd, że porty bałtyckie nie odgrywają już takiej roli,

jak kiedyś. Gdańsk ma jednak szansę na znalezienie formuły rozwoju. W moim przekonaniu taką formułą może stać się tania turystyka. Powinno istnieć wiele przystani jachtowych, korzystny transport w głąb lądu, na Kaszuby i Żuławy. Co do uczelni, ich władze często nie rozumieją, że objęcie stanowiska rektorskiego jest, nolens volens, wejściem w politykę i trzeba kierować się wtedy pragmatycznie pojętym interesem danej instytucji. Co do poziomu poszczególnych kierunków nauczania, to nastąpiła pewna degradacja niektórych kierunków ścisłych. Humanistyka pozostaje na poziomie „stanów średnich”, nie musimy się wstydić. Trudno w ogóle powiedzieć, który uniwersytet jest najlepszy.

- Święty Wojciech, patron medalu, który niedawno pan otrzymał, uznawany jest za jednego z patronów jednoczącej się Europy. Jaka będzie według pana nowa, zjednoczona Europa?

- Jakakolwiek prognoza musi brać pod uwagę dwie ewentualności. Pierwsza to ta, że nie nastąpi żaden krach gospodarczy na jednej z dwóch giełd: nowojorskiej lub tokijskiej i że będzie miał miejsce stały, powolny wzrost gospodarczy. Wówczas możemy patrzeć w przyszłość z umiarkowanym optymizmem. Europę widziałbym nadal jako dosyć luźną konfederację. Nie można nie doceniać wewnętrznych sił tkwiących w poszczególnych narodach. Dzisiaj, na szczęście, zwiększa się ilość kontaktów, sprzyja to łagodzeniu dystansów. Ale istnieje też drugi wariant - załamanie gospodarcze jednak następuje i czy wtedy ci mieszczańscy Niemcy (oczywiście to tylko przykład) będą się zachowywali w swej masie tak samo wobec licznych gasterbeiterów...? To samo można powiedzieć o Francuzach i o Anglikach, choć tych ostatnich wciąż oglądamy przez pryzmat wielkiego imperium. Ja jednak jestem generalnie na tyle optymistyczny, na ile dostrzegam rosnącą siłę kontaktów mię-

dyludzkich. Dzieje się tak choćby dzięki internetowi. To na pewno zbliża, a trudniej jest zantagonizować społeczeństwa, które się dobrze znają.

Jeżeli wejdziemy do Unii, będziemy nadal peryferiami, ale mniejszymi niż wtedy, gdybyśmy do niej nie weszli. Niewątpliwie nastąpi przepływ ludzi, wiedzy i doświadczeń. Patrzę w przyszłość optymistycznie.

- W tych dniach w Bremie odbędą się uroczyste obchody 25-lecia partnerstwa z Gdańskiem. Czy nie uważa pan, że Gdańsk już wtedy, zanim ktokolwiek marzył o zniknięciu żelaznej kurtyny, budował dzisiejszą jednoczącą się Europę?

- Pamiętam bardzo dobrze stosunki z Bremą. Sam, jako ówczesny prorektor uniwersytetu przyjmowałem pana Koschnicka, ale muszę powiedzieć, że wtedy, w końcu lat 70-tych, ta współpraca była żywsza, prawdziwsza, niż dzisiaj. Co roku nasi naukowcy tam jechali, do nas przyjeżdżali profesorowie z Niemiec, wykładali...A dzisiaj chyba więcej się mówi, takie mam wrażenie. Ale gdy wejdziemy do Unii, to wszystkie te umowy staną się mało ważne, zastąpią je bezpośrednie kontakty, także naukowe.

Co z resztą Europy? Ja nie liczyłbym bardzo na to, że to, co jest na wschód od nas, będzie miało łatwą drogę. Posłużę się przykładem. W 1917 roku ludność chłopska po „naszej” stronie Bugu rozkradała dwory, ale po „tamtej” najzwyczajniej je niszczyła. To jest olbrzymia różnica...Moralnie jest to może podobne, ale to nie jest to samo. Granica państwa polskiego na wschodzie z 1921 roku była widoczna w sensie cywilizacyjnym jeszcze w latach siedemdziesiątych. Wiem o tym z relacji ludzi tam mieszkających.

Wracając do Unii. Jeśli do niej wejdziemy, czeka nas na pewno szok. Jest on nieunikniony, ale konieczny, by powstało społeczeństwo nowoczesne.

- Dziękuję bardzo za rozmowę.